            Kiedy wreszcie poszedłem do Chandlerów, zapukałem do drzwi.

            Nikt nie otworzył.

            Gdy stałem na ganku, byłem świadomy dwóch rzeczy. Pierwszą była Susan, która głośno płakała w swoim pokoju. Druga działa się na dole. Przepychanka. Meble szurające o podłogę. Stękanie, jęki. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu.

Zaczęły się poważne kłopoty.

            To niezwykłe, jak bardzo chciałem tam wejść.

            Schodziłem po dwa schody naraz, skręciłem za rogiem. Wiedziałem, gdzie byli.

            W drzwiach do schronu stała Ruth. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy przesunęła się, by wpuścić mnie do środka.

            – Próbowała uciec – powiedziała. – Willie ją powstrzymał.

            Wszyscy ją teraz szarpali: Willie, Donny i Woofer. Rzucali nią na zmianę o betonową ścianę, waląc prosto w  brzuch. Etap, w którym próbowała się temu sprzeciwić, miała już dawno za sobą. Wszystko, co można było teraz usłyszeć, to świst powietrza, gdy Donny uderzył ją, a Meg skuliła się z bólu, chwytając się mocno rękoma za brzuch. Na jej zaciśniętych ustach widniał grymas bólu, jednak w jej oczach można było dostrzec ogromną koncentrację.

            Przez chwilę znów była bohaterką walczącą z przeciwnościami losu.

            Jednak tylko przez chwilę. Bo nagle stało się dla mnie jasne, że jedyne, co mogła zrobić, to przyjmować bezsilnie ciosy. I ponieść klęskę.

            Pamiętam, że pomyślałem wtedy „przynajmniej to nie jestem ja”.

            Gdybym chciał, mógłbym nawet się do nich przyłączyć.

            Przez moment, myśląc o tym, miałem władzę.

            Od dawna pytałem siebie „kiedy to się stało?”, „kiedy się do tego przyłączyłem?”. Wtedy najczęściej wracam myślami właśnie do tego momentu, do tych myśli.

            Do tego poczucia władzy.

            Jednak wtedy nie wziąłem pod uwagę tego, że to była władza nadana mi przez Ruth, być może tylko tymczasowo. W tamtej chwili wydawała się taka prawdziwa. Kiedy patrzyłem, odległość pomiędzy mną i Meg stała się ogromna, nie do pokonania. To nie było tak, że moja sympatia do niej zniknęła. Ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak różni się ode mnie. Ona była bezbronna. Ja nie. Byłem na wygranej pozycji. Ona nie mogła upaść niżej.

            Czy to było nieuchronne? Pamiętam, jak pytała mnie „dlaczego oni mnie tak nienawidzą?”. Wtedy nie wierzyłem jej, nie potrafiłem udzielić żadnej odpowiedzi. Czy coś ominąłem? Może była w niej jakaś skaza, której ja nie zauważyłem i to ona spowodowała wszystkie te wydarzenia? Po raz pierwszy poczułem, że być może jej odseparowanie od nas mogło być usprawiedliwione.

            Chciałem czuć, że może być usprawiedliwione.

            Teraz mówię to w najgłębszym wstydzie.

            Obecnie uważam, że duża część tego była ściśle osobista, to była część świata, jaki na co dzień widziałem. Próbowałem myśleć, że to wszystko wina moich rodziców, że to przez ich wojnę, przez mój chłodny spokój i dystans, jakiego nabrałem, będąc w epicentrum ich nieustającego huraganu. Teraz jednak już w to nie wierzę. I wątpię, czy kiedykolwiek wierzyłem. Moi rodzice kochali mnie o wiele bardziej, niż czasem na to zasługiwałem, nieważne, jakie żywili w stosunku do siebie nawzajem uczucia. A ja wiedziałem o tym.

            Nie. Prawda była taka, że to siedziało we mnie, że czekałem aż coś takiego się wydarzy. Jak gdyby jakaś nieznana myśl krążyła w mojej głowie, omotała umysł, aż wreszcie czarny wiatr rozwiał chmury, odkrywając słońce.

            I pytam siebie: „Kogo nienawidziłem?”. „Kogo i czego się bałem?”.

            W tej piwnicy, z Ruth, zacząłem uczyć się, że złość, nienawiść i samotność są niczym pojedynczy przycisk, czekający na palec, który poprowadzi człowieka do destrukcji.

            I dowiedziałem się również, że te uczucia mogą mieć smak zwycięstwa.